



DAR ANOMALII

PAWEŁ ZBROSZCZYK

— Księga II —

DAR & ANOMALII

PAWEŁ ZBROSZCZYK

== Księga II ==
TAURYN



YODGORLIK

TAKLIF

QUIZIL MALIKA

WYSPA NEUTRALNA

MORZE WSCHODNIE

LANGAR

BEZKRESNE WODY

Ban Hoodur

Khon Runar

Vexmire

Albenurg

BOSHQALAR

Kargarum

Marbadur

Reckathan

BOLGA

Khon Farum

Buyuk Tog

Ogiz

TOGLI

Ristarlik

Meros

PUSTKOWIA

Oltar

Chorraha

Almashish

KINDIK

DENGIZ

Bozor

Chekka

YER OSTI

Thag Daral

Chegara

Umid

Ulanish

Sharshara

Plaven

Shamol

Wynder

Janubiy



Copyright © by Paweł Zbroszczyk, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Redakcja: Magdalena Świerczek-Gryboś
Korekta: Paweł Wielopolski, Anna Hat – Zyszczak.pl
Skład DTP: Andrzej Zyszczak – Zyszczak.pl
Ilustracja na okładce: Steve Stone
Projekt okładki: Ilona Gostyńska






Wydawca: Wydawnictwo elfickie
Kup książkę: www.elfickie.pl
Zamówienia hurtowe: zamowienia@elfickie.pl
Dystrybutorzy:
Platon Sp. z o.o. – <https://platon.com.pl>
Ateneum M. Kogut, A. Zegiel Spółka Komandytowa – <https://www.ateneum.net.pl>
OSDW Azymut Sp. z o.o. – <https://www.azymut.pl>

Druk i oprawa: OSDW Azymut Sp. z o.o., Łódź, ul. Senatorska 31

Wydanie I

ISBN 978-83-967187-8-5

Znajdziesz mnie:

 www.facebook.com/frazyfantasy
 www.instagram.com/frazyfantasy
 www.tiktok.com/@frazyfantasy
 www.elfickie.pl
 <https://lubimyczytac.pl/autor/245233/pawel-zbroszczyk>

Tobie, Przyjacielu

CZĘŚĆ I

PODSTĘP

Rozdział 1

Kryształ

Chłód jaskini nie był jedynym, co przyprawiało dziewczynkę o dreszcze. Częściowo zwęglona twarz ojca stanowiła połączenie strupów i tych różowych miejsc, które bolały go najbardziej. Tata był dla niej wszystkim, ale nie wyglądał jak dawniej. Po każdym długim śnie powracał odmieniony, straszniejszy. Raz jego głowa zajęła się ogniem, innego dnia stracił pamięć.

Wszystko przez te rośliny. Wiele razy chciała je wyrzucić lub choćby ukryć przed nim, lecz brakowało jej odwagi. Tata pilnował liści jak najcenniejszego skarbu i ciągle tu wracał. Połykał je, po czym spał przez wiele dni.

Omiotła wzrokiem pieczarę i wsłuchała się w melodię spadających, zimnych jak lód kropli. Niewiele większa od ich domu grota przypominała grób. Zawsze tak o niej myślała. Było tu ciemno, wilgotno i śmierdziało umarłymi. Podłoże, w którego zagłębieniach stała woda, porastały brązowe grzyby o powyginanych kapeluszach, a ze stropu sterczały skalne sople. Ambriel potarła zmarznięte ramiona i przyjrzała się tacie, który ugniatał z pietyzmem znienawidzone przez nią liście.

– To ostatni raz! Przysięgam – zachrypiął swoim nowym głosem. Po ostatniej pobudce zaczął chrobotać niczym podrzucany sitem żwir.

Wiedziała, że zwraca się do mamy, ale jej już nie było. Wyszła z grotu, najpewniej maskowała wejście. Jeżeli kiedykolwiek rodzice się kłócili, to właśnie o jedzenie tych roślin. Zupełnie jak przed chwilą.

Ojciec skinął na Ambriel. Podeszła. Przytulił ją czule.

– A jeśli znów coś ci się stanie? – spytała nieśmiało, rysując niewidzialne wzorki na jego kolanach.

Czarne skrawki skóry na szyi ojca zafalowały, gdy nabrał powietrza.

– Coś na pewno – odparł. – Wszystko w rękach bogów, kochanie. Spojrzał na nią uważnie. Kucnął i odgarnął grzywkę córki. Fragmenty jego nosa, gdzie skóra się wybrzuszyła, przypominały małe grzybki rosnące na drzewach.

– A co to? Nie zamierzasz chyba płakać?

Potrząsnęła głową.

– To dobrze. Sprawdź dziś łowisko.

Kiedy opuściła jaskinię, zrobiło się jej raźniej. Promienie porannego słońca osuszały zlane nocną burzą drzewa, a skrzeczące drozdy trzepotały skrzydłami jak szalone. Zapach mokrych paproci był zdecydowanie przyjemniejszy od smrodu trupów i stęchlizny.

Matka popchnęła wielki głaz i zasłoniła nim wejście do grotu. Specjalna rynna z okrągłymi kamyczkami była dziełem taty. To dlatego mogli przesuwac tak ciężką skałę.

– I jak? – spytała głosem niosącym nutkę wściekłości.

– Nic nie widać. Tatuś ma już zupełnie ciemno.

Ambriel w głębi duszy wiedziała, że nie chodzi o ciemność, tylko o to, by nikt nie przerwał ojcu długiego snu. Podśluchiwała, jak tłumaczył to mamie podczas smarowania. Widziała, jak się krzywił, gdy kolejne warstwy zsiadłego mleka lądowały na poparzonych policzkach i nosie. „Pod żadnym pozorem – mówił. – Nie wolno mnie obudzić”.

Kopnęła zmurszałą gałąź. Miała nadzieję, że to już ostatni długi sen ojca.

* * *

Kiedy dotarły do chaty, matka zaczęła przyrządzać posiłek. Tasak wystukiwał szybki rytm i brudził pieniek wilgotną natką pietruszki.

– Zobacz, czy do sieci co wpadło, a ja wkroję marchew.

Ambriel nie trzeba było drugi raz powtarzać. Uwielbiała sprawdzać plecionki. To tata nauczył ją, jak i gdzie je zarzucać, opowiadał o pływach i sposobach zabezpieczania przed falami. Odkąd zaczął zapominać, wypytywała go o wszystko. Była dumna z każdego sukcesu, a uznanie taty podgrzewało dziecięce serce.

Kiedy dotarła do pierwszej sieci, wypatrzyła kształt, który psuł majestatyczną linię wybrzeża. W okowach różowej mgły powlekającej morze ujrzała trójkąt żagla. Po chwili dostrzegła kolejny i kolejny.

Statki, tutaj?

Dziewczynka skoczyła w sitowie. Klęknęła. Nigdy nie widziała tyłu statków jednocześnie. Były mniejsze od okrętu handlowego, który odwiedzał osadę latem. Po chwili wpadły z impetem w krzaczącą linię brzegową.

W oddali błysnęły półnagie postacie. Mężczyźni. Wyskakiwali na brzeg i biegli w stronę zabudowań.

Mama – zadzwoniła w głowie myśl.

Ambriel przemknęła po trzaskających pałkach tataraków. Słyszała jęki i nawoływanie pomocy. Szczęk metalu, trzask drzwi, odgłosy kroków. Rzęzenie?

Dobiegła do linii zabudowań i przywarła do ściany. Na głównym placu, obok studni, dostrzegła dwóch uzbrojonych mężczyzn. Chudzi, w brudnych portkach okrążali Jakoba. Małomówny rybak, który mieszkał pod lasem, wymachiwał widłami i szczyrzył groźnie zęby.

Jeden z nieznanomych ciął go mieczem po nodze. Rybak upadł z jękiem i wypuścił widły. Dziewczynka popędziła w stronę

najbliższej chałupy. Krzyk Jakoba zmienił się w bulgot. Dopadła drzwi i pchnęła je. Wbiegła do środka i wyhamowała przed ścianą twarzy przerażonych kobiet. Śmignęła przez pomieszczenie i wyskoczyła oknem.

Pod budynkiem leżał myśliwy Elias z wybałuszonymi oczami. Krzyknęła. Przeskoczyła nad trupem. Brakowało jej oddechu, a serce waliło jak nigdy wcześniej. Poczowała w ustach słony smak łez. Zaciśnięte piąstki wirowały, gdy przeskakiwała nad uciekającym ptactwem.

Jeden z nieznanym wchodził do domu. Jej domu. Skręciła w stronę ogródka.

Wejdę od tyłu. Oknem.

Pochwyciła wypełniony paniką kobiecy krzyk. Jedna z chat bliżej wybrzeża stanęła w płomieniach. Ambriel ruszyła wzdłuż ściany, przeskoczyła płotek z rozwieszonymi koszulami, po czym dopadła okiennej wnęki. Zajrzała do środka.

Ten, który wszedł do chaty, patrzył na stół przy ścianie. Miał długie, zawinięte wąsy i przesiąknięty szaleństwem wzrok. Uśmiechał się. Podążyła za jego spojrzeniem.

To mama.

Leżąca na wznak kurczowo trzymała się brzegów blatu. Inny mężczyzna przygniatał ją swym ciężarem. Zagarniał ukochane, matczyne pukle, a drugą dłonią dociskał nóż do napiętej szyi. Suwał ciało po stole, napierał, a każdy ruch wywoływał u mamy grymas bólu. Miała nieobecne, wpatrzone w sufit oczy i zaciśniętą zuchwę.

Ambriel stała jak zahipnotyzowana, z krzykiem uwięzionym w gardle. Pисnęła. Musiała pisać, bo mężczyźni spojrzeli na nią.

– *Sa tue ran* – powiedział wąsacz, po czym ruszył w kierunku wnęki.

Odskoczyła, straciła równowagę i upadła. W oknie zajaśniała twarz nieznanego. Mężczyzna oparł stopę o framugę i patrzył

na nią w ten sam sposób, jak ten drugi na mamę. Krople potu wisały na jego długich wąsach, a żółte zęby upodabniały go do drapieznika. Zaciśnęła dłonie, wierzgnęła. Zerwała się do biegu.

– *Hyyyj!* – krzyknął.

Popędziła przez las. Słyszała, że wyskoczył oknem. Minęła starą sosnę, przyspieszyła. Zaczepiła butem o korzeń, runęła w igliwie. Wstała, przeskoczyła nad stosem chrustu, który gromadzili na zimę.

Odwróciła się. Nie było go. Nie było.

Pobiegnę do taty – pomyślała.

Popędziła ścieżką aż do strumienia, po czym skręciła przy pomalowanych kamieniach.

Nie wolno go zbudzić! Tyle razy mówił to mamie.

Zeskoczyła ze wzniesienia tuż obok grotu. Stanęła przy głazie zasłaniającym wejście, po czym pchnęła z całych sił. Drgnął. Usłyszała kroki za plecami. Wpełzła w niewielki otwór. Poczowała uścisk dłoni. Ktoś chwycił jej nogę.

– *As hereste!*

Zaczepiła dłonie o skały, podciągnęła się. Poczowała, że traci but i wyzwala się z uścisku. Jaskinię rozświetlało kilka plamek światła z otworu, którym weszła. Zamknęła oczy. Dobrze знаła rozkład grotu. Wymacała ciało śpiącego ojca. Drobne paluszki dotknęły klatki piersiowej.

Czekała.

Usłyszała stukot. Kamień drgnął. Dłonie dziewczynki ścisnęły kubrak śpiącego. Ambriel wymacała dłoń taty. Była ciepła, bezwładna, otulona głębokim snem. Kolejny hałas potwierdził obawy. Ruch bloku skalnego wpuścił światło do wnętrza jaskini. Dostrzegła tego, który ją ścigał.

– *Ra tualesce?* – Mężczyzna wydał z siebie okrzyk zaskoczenia.

Dziewczynka wskoczyła na ojca okraciem i potrząsnęła za kołnierz. Spał.

– Tato! – krzyknęła, szykując dłoń do uderzenia.

Klepnęła policzek ojca, najpierw delikatnie, potem mocniej.

– Obudź się!

Usłyszała śmiech nieznanego. Uszczypnęła ojca w poparzoną szyję. Chciała zadać ból, który wyrwie go ze snu. Uniosła głowę taty i grzmotnęła nią o skalną powierzchnię. Raz, drugi, trzeci.

Ojciec otworzył wypełnione pustką oczy. Wrzasnął. Głośny, dojmujący skowyt zaskoczył nieznanego.

Głowa taty eksplodowała niczym roztrzaskany arbuż, wyrzucając strugi krwi, pofałdowane fragmenty czegoś białego i niebieski kryształ, który uderzył o strop, po czym rozsypał się na mniejsze drobinki.

Półprzytomna dziewczynka poczuła, że oczy i nos zaczynają palić, a skóra twarzy pęka niczym skorupki jajka. Dotknęła policzka. Wrzasnęła z bólu. Rany, rozcięcia na szerokość palca. Żywe mięso, które piekło.

Mamusiu, jak to boli!

Widziała, jak nieznanomy zbiera odłamki kryształu, jak sięga po linę, krępuje jej dłonie. W końcu zarzuca na ramię niczym owcę. Kiedy opuszczali jaskinię, twarz Ambriel wciąż paliła żywym ogniem. Bezgłowe ciało ojca leżało nieruchomo. Pomyślała, że tata wciąż śpi. W końcu to długi sen.

Rozdział 2

Fortel

Cesarstwo Estepii, Togli

Zadra otworzyła oczy i instynktownie przywarła do podłóża. Musiała zasnąć podczas warty.

Przeszedł ją dreszcz. Wiele by dała, by pozbyć się powracających bezlitośnie koszmarów. Wyrównała oddech i rozchyliła gałęzie, którymi zamaskowali wejście do jaskini. Nasłuchiwała. Złowiła miarowe chrapanie towarzyszy, nic poza tym. Odczekała chwilę, po czym wyszła na zewnątrz.

Świt w górach Togli nie należał do najcieplejszych. Zwłaszcza wczesną wiosną. Szczyty gór błyszcząły śnieżną bielą. Rosnące na zboczach iglaki o ciemnozielonych koronach zrzuciły zimowe okrycie, jakby broniły się przed nieodpuszczającą aurą. Gdzieś gdzie błyszcząły potoki i jeziora o turkusowej wodzie. Przejrzyste powietrze pozwalało dostrzec najdrobniejsze szczegóły: gawrony obsiadające czubki drzew, fragmenty skał, które odpadły, tworząc nastroszone gołoborze, drapieżne ptaki opadające ku ziemi w poszukiwaniu pożywienia. Panowała cisza, przerywana jedynie szumem wiatru i szeptem kołyszających się jodeł.

Najemniczka wciągnęła mroźne powietrze, rozmasowała nadgarstki i wykonała kilka skłonów. Nadchodziło ocieplenie. Pierzyna śniegu razila oczy, a nieba nie pokrywała najdrobniejsza chmura. No i to wschodzące słońce, różowe jak posypka na łakociach w Ogiz.

Wróciła do jaskini. Mimo że żar ogniska dogasał, było tu cieplej. Dorzuciła drewna, po czym omiotła wzrokiem śpiącego na boku rudowłosego chłopaka. Chudy, ubrany w za duże spodnie. Owalna twarz, niedbały wąsik, kolczyki w uszach i te śmieszne włosy: burza loków, a boki głowy wygolone prawie do gołej skóry.

Próbowała przypomnieć sobie jego imię. Bezskutecznie. Pamiętała natomiast kostnicę, w której przywrócił ją do życia. Oczami wyobraźni ujrzała walkę, którą stoczyła z piewcami, oraz to, jak jeden z nich zgniótł truciznę i odebrał życie sobie oraz porwanemu magowi.

Przeniosła wzrok na starszego gnoma. Spał zwinięty w kłębek i pochrapywał. Jego imię zapamiętała od razu: Pieprz. Był krępy, niewielkiego wzrostu. Ogorzałą twarz porastała bujna siwa broda, a na wydatnym kinolu tkwił duży włochaty pieprzyk. Staruszek kaszłał przez całą noc. Pomyślała, że jest przeziębiony albo opary trucizny, w pobliżu których znalazł się wtedy w kostnicy, wciąż drażniąc mu gardło.

Zadra przypomniała sobie, że jeden z piewców uciekł. Na pewno powiadomi innych, a ci ruszą ich śladem. O ile już nie ruszyli.

– To ranek? – spytał Bren.

– Wczesny świt.

Ziewnął i się przeciągnął.

– Mam wrażenie, że przed chwilą zamknąłem oczy.

Pieprz również wstał. Przeczesał brodę i przysunął się bliżej coraz żywszego ognia. Jego skóra była biała jak pergamin, a czoło pokryła gęsta pajęczyna zmarszczek. Tylko oczy lśniły, jak gdyby należały do ukrytego wewnątrz dziecka.

– Co może być lepszego od poznawania świata? – spytał. – Poznawanie go w zdrowiu – odparł, nim zdążyli odpowiedzieć. Wstał i zaczął robić przysiady. – Rzeško w czaszkę, czapkę dają. Rzeško w łapy, kieszeń mają. – Kucał i wstawał energicznie, wystękując rymowanekę. – Rzeško w brzuchu: zupy, chleba. Rzeško w dupę, ćwiczyć trzeba.

Twarzy Zadry przeciał grymas zaskoczenia. Po chwili dziewczyna wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Opowiedzcie lepiej, jak powstałam z martwych. Pamiętam kostnicę, trupy...

– Rzuciłem zaklęcie – odparł Bren.

Jej twarz przybrała surowy wyraz.

– Jesteś magiem?

– Nie z wyboru.

– Nienawidzę magów. Ilekroć wpadam w kłopoty, to przez takich jak ty.

– Może trochę wdzięczności?!

– Uratowałam ci życie!

– Chroniłeś własny tyłek!

– Stop, stop! – Pieprz uniósł ręce. – Szkoda zdrowia na swary, ot co. Lepiej opowiedz, jak cię otruto.

Stała pochylona niczym dziki zwierz gotowy do ataku. Po chwili przeniosła wzrok na gнома.

– Otruto?

– Tak powiadają. Glisber ponoć. Niewykrywalna trucizna. Musieli dodać do wina albo strawy. Co ostatniego pamiętasz?

Usiadła. Wsunęła kosmyki kruczoczarnych włosów za uszy i wlepiła wzrok w ogień. Była niewysoka, miała twarz dziecka, niewielki, zadarty nos i duże oczy. Niewinny, momentami wręcz naiwny wyraz twarzy oraz usiane bliznami atletyczne ciało czyniły z niej mieszankę sprzeczności. Na szczęście kluczowe argumenty

świadczące o fachu najemnika miała pod ręką: zakrzywiony miecz w przewieszzonej przez plecy pochwie oraz wystające z kieszonek sztylety. Było coś jeszcze. Obaj panowie doskonale pamiętali, jak sobie radziła z orężem.

– Wieczerzałam w Biesiadnicy, blisko Plaven. Wolnych pokoi zabrakło, ale zajęłam stolik w rogu karczmy i podsypiałam. Zamówiłam kaszę jaglaną z boczkiem, wino. Wszystko zjadłam przed snem. Zresztą, co to za sen, godzina, dwie może. Wstałam o świacie... – zamarła – ...i dopiłam resztkę wina.

– Dolali trucizny, gdy spałaś.

Zacisnęła pięści. Sięgnęła po dużą gałąź i rzuciła nią o ścianę.

– Z kurew zrodzone ścierwa! Dopadnę trucieli. Znajdę ich, choćby nie wiem co.

Czekali, aż się uspokoje, lecz najemniczka wyrzucała z siebie kolejne, coraz bardziej wyszukane bluźnierstwa. Po jakimś czasie umilkła. Wbiła wzrok w Brena.

– Pamiętam o długu – powiedziała spokojniejszym głosem. – Zawdzięczam ci życie. Będę ci towarzyszyć, dopóki choć raz nie uratuję twojego. Załatwimy najpierw tego porywacza magów, którego szukasz. Jak on się zwał? Styks. Dobrze pamiętam?

Chłopak parsknął ironicznie.

– Po tym, jak uciekł z podniebnego więzienia, to najbardziej poszukiwany bandzior w Estepii. W dodatku potężny mag. Dopadniemy go dziś czy jutro?

– Strach cię obleciał!

– Mierzę siły na zamiary!

– To zacznij działać! Ten z kostnicy wspominał, że Styks szmugluje magów w Shamol.

– Gównu wiemy, a piewcy depczą nam po piętach...

– Dość! – krzyknął Pieprz. – Dość.

Bren odwrócił się do Zadry plecami. Zaczął wiązać but.

W gorącej wodzie kąpane babsko – pomyślał.

Chciał go dopaść, ale potrzebował to zaplanować, przemyśleć, a wcześniej wywinąć się piewcom. Dotknął naszyjnika z dwuzębem. Truczna stanowiła jedyną pamiątkę po pobycie w ich siedzibie. Przeszedł go dreszcz. Tak niewiele brakowało, a dopadliby go w podziemnym mieście jak pozostałych mieszkańców Azyłu. Gdyby nie kryjówka...

Przypomniawszy sobie ukrytą komnatę na najniższym poziomie podziemnego miasta. To tam zjadł liść sennika, który otrzymał od Fausta, po czym trafił do świata Parkan, by poznać nowe zakłęcie.

– *Czemu to wszystko przytrafia się właśnie mi? Dlaczego los powiązał mnie z tymi przekłętymi piewcami?*

– *Naprawdę mam ci to przypomnieć?* – spytał Leba.

Parkanin. Dobra dusza. Przyjaciel, który pojawił się we wnętrzu Brena wraz z magicznym talentem. Tak wiele razem przeszli.

– *Dołączyłeś do nich z własnej woli* – kontynuował. – *Wszedłeś w rolę niejakiego Trioda, podałeś podstuchane hasło, a potem...*

– *Wystarczy. Wiem przecież!* – Skrzydlaty, który nie potrafił kłamać, a także skrywać prawdy, kolejny raz wyłożył coś, o czym Bren doskonale wiedział. – *Kiedy sto osób pójdzie prosto, ja zawsze ruszę cholernym skrótem.*

Zawsze mógł liczyć na radę Leby. Nawet tę sprawiającą ból. Przypomniawszy sobie dzień ich połączenia. Myślał, że zwariował, słysząc w głowie obcy głos. A potem dowiedział się czegoś, co na zawsze zmieniło jego życie. Parkanin przybywał z misją. Dużo poważniejszą niż szukanie zaginionych towarzyszy z podziemnego miasta.

Bezsenni, jak nazywał ich Leba, od wieków tworzyli anomalie, mosty, przez które skrzydlaci docierali do przeróżnych światów. Tajemnicze istoty łączyły w pary takich jak on i Leba. Dobierając charaktery obu stron, dbały o równowagę pomiędzy dobrem a złem. Tu, w Estepii, i wszędzie indziej. Efekt ich pracy objawiał się

w postaci obdarzonych magią: złych, dobrych, neutralnych, najbardziej potrzebnych w danym momencie.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że jedna ze stworzonych w ten sposób par zamordowała Bezsennego. Zostało tylko sześciu.

Bren był pewien, że Styks planuje kolejne mordy. Doskonale wiedział, co się stanie, kiedy recydywista pozbędzie się wszystkich Bezsennych: przestaną istnieć anomalie, objawiać się nowe talenty magiczne, nastanie chaos. Choć bał się nawet o tym myśleć, musieli dopaść Styksa przede wszystkim z powodu ingerencji w równowagę między światami. Westchnął ciężko i przeciągle.

– Oboje macie rację – powiedział Pieprz, po czym usiadł pomiędzy Brenem a Zadzą. – Trzeba dopaść łotra, ale musimy zgubić pościg, przygotować się.

– Jestem gotowa – fuknęła. – Nie takich parchów wyprawiałam na drugi świat...

– Posłuchaj – przerwał Bren. – Piewcy nie odpuszczą, póki nie wypalą mi oczu za to, że im zwałem. A ciebie skrócą o głowę.

– Męskie fantazje...

– Mam! – rzekł Pieprz, unosząc dłoń. – Skoro pragną naszej śmierci, damy im ją na tacy.

* * *

– Powiesz coś więcej? – zagaiła, podskakując na wierzchovcu, który stąpał kamienistą ścieżką.

Po całym dniu w siodle byli obolali i głodni. Pieprz ściągnął wodze, by zrównali się w wąskim przesmyku.

– Główkowałem nad kryjówką. Tworzę mapy, znam dobre miejsca, lecz nie w tej okolicy.

Zadra przebiegła spojrzeniem po dobrej jakości kubraku i szpiczastych, podkutych butach gнома.

– Miałam cię za kupca.

Starzec sięgnął po plastry suszonych jabłek, których resztki leżały w końskich jukach, po czym wsunął kilka do ust.

– Handel też jest mi bliski, ale to kartografia skradła serce. Obrysowałem Taklif, Dengiz i znaczną część Kindik. Mój syn, Wiktor, wyruszył na zachód, aby utrwalić górzyste Bolga i przekłęty Boshqalar. Kiedy się spotkamy, połączymy prace i powstanie pierwsza kompletna mapa kontynentu.

– To dokąd jedziemy? – przerwał znużony Bren.

– Ach tak, prawda. Niedaleko stąd mam znajomych. U nich będziemy bezpieczni.

– Ufasz im?

– Oczywiście. Wiele lat podróżowaliśmy razem. Rufus jest botanikiem, a jego żona to prawdziwa gospodyni, doskonale gotuje.

– A piewcy i to, co mówiłeś o śmierci? – spytał Bren z irytacją w głosie.

Pieprz uniósł dłoń i pomachał do jadącego z tyłu chłopaka.

– Powoli, mój chłopcze. Jedyne powód, by się w życiu spieszyć, to popicie mlekiem kiełbasy.

Zadra parsknęła i obrzuciła wzrokiem Brena.

– Zaraz wszystko wyjaśnię – kontynuował starzec. – Otóż, gdy przypomniałem sobie o moich przyjaciółach, Adlerach, przyszedł mi do głowy pomysł, jak upozorować naszą śmierć.

– Upozorować?

– Ja nie muszę nic pozorować. – Zadra zarechotała. – Widząc mnie żywą, lokalna gawiedź sfajda się ze strachu.

– Jeden z piewców uciekł spod kostnicy. Wiedzą, że żyjesz. Stawiam najlepszy inkaust, że jada naszym tropem. Ale jeśli uwierzą, że dopadło nas nieszczęście, a nawet śmiertelny wypadek...

– Przesaną nas ścigać! – dodał radośnie Bren. – To musiałoby być coś wiarygodnego. Tropiciele odkryją tanią sztuczkę.

– Dlatego jedziemy na Pustkowie – odparł gnom i poprawił się w siodle.

– Nie ma mowy! – krzyknęła Zadra.

– Pierwszy raz biorę jej stronę.

Pieprz uniósł obie ręce, jakby chciał ich uspokoić.

– Jest wczesna wiosna, gorąc do wytrzymania.

– A potwory?

– Będziemy szli za dnia. Większość bestii poluje nocą.

Zadra chwyciła obie uzdy i zatrzymała zwierzęta.

– Byłeś tam, prawda? – spytała.

– Raz.

– A jeśli pościg nie zaryzykuje, nie ruszy za nami?

Gnom się zamyślił. Sięgnął po bukłak. Pił długo i łapczywie. Gdy skończył, spojrzał na nią i otarł brodę.

– Hasali po Yer Osti, rozwalili kostnicę w Chegarze. Jeśli ktoś nadejście im na odcisk, pójda wszędzie, prawda, Bren?

Chłopak milczał. W głębi duszy wiedział, że starzec ma rację. Siedział ze zwieszoną głową i zastanawiał się, co począć. Był zbyt zmęczony, by porozmawiać z Lebą. Powoli brakowało jedzenia. Wizja upozorowania własnej śmierci, a także przerwania nieustającej ucieczki była kusząca.

– Założmy, że plan wypali – rzekł. – Jaką mamy pewność, że ktoś nas potem nie rozpozna?

– Piewcy! – krzyknęła Zadra, wskazując odległe zbocze góry i pięciu konnych.

Miała rację. Nieznajomi jechali tą samą ścieżką. Objuczone konie, przygotowane na długą podróż, to nie mógł być nikt inny.

– Trzy, może cztery godziny różnicy – oceniła. – Jazda. Już!

Przyspieszyli, na tyle ile pozwalał śliski trakt.

Bren poczuł, że sztywnieją mu plecy. W głowie dudniło. Najemniczka mówiła coś jeszcze, lecz stłumiony głos nie docierał podczas

tętentu kopyt. Chłopak oddychał płytko, jakby niewidzialna dłoń zacisnęła się na płucach. Przypomniawszy sobie noc, podczas której piewcy obudzili wszystkich w siedzibie i zgromadzili w sali. Związany uciekinier na krzesło, narzędzia do wypalania oczu. Bren wciągnął górskie powietrze. Smrodu topionego białka nie zapomni do końca życia.

Dopadną mnie. Wylatują wszystkich – pomyślał.

– *Wciąż mamy przewagę kilku godzin – rzekł Leba. – Nie trać nadziei.*

– Dostrzegli nas. Szybciej! – krzyknęła Zadra.

Spięli konie. Po nasłonecznionej stronie góry panowały dobre warunki. Zwierzęta mlaskały pośród błota, omijały kałuże, które raziły blaskiem odbitych promieni. Trakt zwęzał się niebezpiecznie, by po chwili rozszerzyć, pozwalając im nabrać tempa.

Gorsze warunki panowały po zacienionej części masywu. Zwolnili. Wszędzie straszyły lodowe jęzory i trudno było ocenić głębokość śnieżnych czap. Konie szukały fragmentów ziemi i skupisk bylin, by stąpać po pewnym gruncie. Kilka poślizgów ostudziło chęci jeźdźców do galopu po lodzie. Ponadto zapadał zmrok.

Noc zawitała bez ostrzeżenia. Kolejny zakręt zniknął w ciemności. Ucichły owady, na niebie rozbłyły pierwsze gwiazdy. Zadra się zatrzymała. Pozostali również stanęli. Trakt prowadził z boku góry. Po lewej stronie wąskiej ścieżki widniały kontury pionowej ściany, dwa kroki w bok rozpoczął się głęboki spadek.

Uzgodnili, że tu przenocują i ruszą przed świtem. Piewcy nie powinni zaryzykować nocnej podróży po tak niebezpiecznym terenie.

Pieprz zeskoczył z konia, po czym ułożył się w skalnej wnęce. Kaszłał. Wyglądał na coraz bardziej chorego. Najemniczka rozpoczęła przygotowania do pełnienia warty. Zdjęła końskie ogłowie, odpięła pasek podgardla, poluzowała nachrapnik i odpięła popręg. Bren obserwował, jak podnosi siodło i opiera je pionowo o brzeg

skąły. Siodło gнома położyła na ziemi, siadła na nim okrakiem i wtuliła się w skórzane oparcie tymczasowego fotela. Wbiła wzrok w Brena.

– Miastowych nie uczą, jak przetrwać w terenie, co?

Bren poprawił przesiąknięte wilgocią loki, które opadły mu na czoło.

– Pochodzę ze wsi.

Chuchnęła w dłonie i wsunęła je do kieszeni spodni.

– Mag ze wsi. – Splunęła. – Balii z gorącą wodą też pewnie nie wyczarujesz, prawda?

Westchnął. Kolejna kłótnia? Zerknął na nią kątem oka. Zabłoczone buty, opięte skórzane spodnie, szczupłe rozchyłone nogi, którymi poruszała miarowo, podśpiewując karczemną piosnkę. Wpatrzona w gwiazdy rozsiane po brunatnym niebie wyglądała, jakby zupełnie straciła zainteresowanie rozmową. Chciał coś powiedzieć, dogryźć jej, ale zrezygnował. Ziewnął i zajął miejsce do spania.

Obudziło go krakanie. Do świtu zostało kilka godzin. Linia horyzontu jaśniała zaróżowioną łuną. Było zimno. Pieprz leżał z podkulonymi nogami i pochrapywał. Zadra siedziała nieruchomo, wtulona w prowizoryczne oparcie. Wpatrzona w szarą mgłę wyglądała jak rzeźba. Miała w sobie coś ulotnego, złudnego niczym zakapturzona bogini zemsty ze sztyletem w dłoni. O tak, zdecydowanie różniła się od kobiet, które dotąd spotkał.

– Zmienię cię – wyszeptał.

Drgnęła.

– Wybacz, ale nie zmrużę oka na twojej warcie.

– Powiedziała ta, której dolali trucizny podczas czuwania...

Wstała energicznie. Poruszała się zwinnie i cicho jak puma. Nabrała powietrza, by wykrzyknąć coś prosto w twarz chłopaka, lecz na widok śpiącego gнома machnęła lekceważąco ręką.

– Igrasz z ogniem – wycedziła przez zęby.

- Chcę, byś złapała parę godzin snu.
 - Troskliwy się znalazł.
 - Czuwasz drugą noc z rzędu. Dbam tylko o to, żebyś mogła nas bronić.
 - Zabiję każdego, kto stanie nam na drodze.
 - Jak chcesz. Muszę na stronę.
- Na twarzy Zadry zagościł ironiczny uśmiech. Wskazała coś palcem.
- Jest strona góry, gdzie siedzę, i strona przepaści. Którą wybierasz?
- Spojrzał w kierunku, z którego przybyli. Ciemność. Każdy krok groził upadkiem. Westchnął, odwrócił się do niej plecami.
- Skoro dama nie ma nic przeciwko...
- Poluzował rzemień, który zastępował pasek.
- Taka ze mnie dama jak z ciebie awanturnik. – Zarechotała, a konie zarżały i pokiwały łbami.

Rozdział 3

Rysunek z przeszłości

Ruszyli przed świtem. Zaspokoiли pragnienie wodą z bukłaków, lecz głód ścisnął żołądki. Zrezygnowali ze śniadania, uznając, że resztki owoców i chleba równie dobrze mogą podjadać w trakcie jazdy. Po pościgu nie było ani śladu. Ponieważ ścieżka oplatała gołoborze, uciekinierzy uznali, że konni muszą być po drugiej stronie zbocza.

Nerwowość udzieliła się nawet Zadrze. Jechała przodem, posępna i milcząca. Przesmyk nie miał odnóg, ciągnął się wzdłuż pionowej ściany. Ze względu na stromiznę nie mogli przyspieszyć. Pieprz co chwila oglądał się za siebie i mamrotał coś, co przypominało modlitwę.

Około południa dostrzegli pościg. Zadra oceniła, że dystans od piewców się powiększył, co dodało im otuchy i poprawiło nastroje. Najwyraźniej tropiciele nie chcieli zamęczyć koni.

– Kończy się jedzenie – oznajmił Bren, którego klacz stąpała na końcu.

– Kupimy w Thag Daral, powinniśmy dotrzeć tam przed zmierzchem – odparł Pieprz.

Jadąca przodem Zadra odwróciła głowę, by szum wiatru nie zagłuszył słów.

– Czy to nie krasnoludzkie miasto? – spytała.

– Kontent jestem, że słyszałaś o nim, młoda damo.

– Poznałam po nazwie. Poszarpana jak ich cały język – odparła, po czym wypluła fragment chleba. – Bren ma rację. Jedzenie ma biały mech, a to oznacza rzyganie.

– A strony są dwie – wycedził rudowłosa. – Strona góry i strona przepaści.

Uniosła się w siodle, by lepiej go widzieć. Zmarszczyła nos.

Pieprz chrząknął, jakby wyczuwał nadchodzącą kłótnię.

– Rano przekroczyliśmy granicę z Bolga – rzekł. – Tu, w górach, trudno to dostrzec, ale jestem pewien, że gościmy na ziemiach krasnoludów. Chętnie przybliżę wam historię ludu gór, oczywiście, jeśli chcecie.

Zadra wciąż patrzyła na Brena. Przekrzywiła głowę z szyderczym uśmiechem. Chłopak przewrócił oczami i dał dyskretnie znak, by nie próbowała się zgadzać. Oblizła usta. Wolno, jakby z premedytacją.

– Z największą przyjemnością, Pieprzu. Bren pewnie też jest ciekaw. To lepsze niż gapienie się w przepaść.

Uradowany gnom zatarł ręce.

– Doskonale! A jeśli już mowa o przepaści, jutro ujrzycie największą, jaką widzieliście w życiu. Ale po kolei, po kolei, moi kochani.

* * *

Przez następne godziny słuchali historii krasnoludów. Gnom opowiadał o tym, jak lata temu panowali w Togli i zostali podbici przez Cesarza, który zaanektował ich ziemie, a następnie połączył z Kindik oraz Dengiz. Krasnoludy zostały wygnane w niedostępne góry, gdzie powstała nowa stolica, Kargarum, początek państwa Bolga.

Starzec nie szczędził szczegółów, a kiedy zaczął opowiadać o niebezpieczeństwie ze wschodu, gestykulował, przez co o mało nie spadł z konia. Choć niewielu stamtąd wróciło, mroczny Boshqalar,

zdaniem Pieprza, stanowił dom dla najdzikszych i niegrzeszących inteligencją istot.

– Kto wie, czy Estepia wciąż by istniała, gdyby nie wielka rozpadlina...

– Rozpadlina? – przerwała Zadra.

– Ogromne pęknięcie ziemi. Powiadają, że było tam od zawsze. To właśnie blisko krawędzi krasnoludy zbudowały twierdzę Thag Daral, do której zmierzamy. Zwą ją Oczami Południa.

– Powiesz coś wreszcie o Pustkowiach? – wtrącił Bren.

Gnom dotknął pieprzyka, jakby sprawdzał, czy wciąż zajmuje środek nosa. Pogładził brodę i wytrzepeł z niej resztki suszonych owoców.

– To spalona słońcem południowa część Boshqalaru. Pas ziemi niczyjej. Można tam trafić po przekroczeniu rozpadliny przy Thag Daral.

– Niby jak ją przekroczyć? Jeśli liczysz na moją magię...

– Pokonamy przepaść w inny sposób. Zasadniczo nie zdążyłem wspomnieć o Jezomostach.

Koń Brena szarpnął i z panicznym rzeniem wyrwał do przodu. Coś dużego sfrunęło z góry i uderzyło go w zad. Usłyszeli skrzeczący wrzask. Prerażone zwierzę stanęło dęba i zrzuciło chłopaka. Uderzenie odebrało Brenowi dech.

Wstał. Spojrzał na wierzgającą klacz. Bogowie, jakieś skrzydlate stworzenie orało jej boki pazurami. Dostrzegł, jak koń Pieprza minął je, odskoczył w bok i uderzył głową jeźdźca o skraj skały. Gnom obwiśł i spadł nieprzytomny obok spanikowanego ruma-ka Zadry, który mało go nie stratował. Najemniczka w ostatniej chwili wysunęła stopy ze strzemion i zeskoczyła w błoto pośniego-we. Dobyła miecza i osłoniła ciałem nieprzytomnego gнома.

– Harpia! – Wykrzyczane przez nią słowo rozmyło się wśród pisku i rżenia.

Z paszczy potwora wydobył się wrzask. Straszydło szarpało pazurami klacz Brena i uderzało powietrze wielkimi skrzydłami o rdzawych piórach. Naga, oblepiona zaschniętym brudem i krwią istota o ciele młodej kobiety przewróciła zwierzę, po czym siadła okrakiem na jego boku. Koń zrywał się, próbował wstać, lecz harpia na to nie pozwalała. Wbiła wzrok w Brena, krzyknęła upiornie i zaczęła ugniatać wciąż ciepły koński korpus. Miała ludzką twarz, grube, spierzchnięte usta i oczy przepelnione dziką żądzą. Trąciła pazurami zwisające nagie piersi i wyszczerzyła zęby.

– *Skup energię.*

– *Leba? Jak dobrze, że jesteś! Rozdzieliła nas. Zadra i Pieprz są tam...*

– *Widzisz głaz nad tym potworem?*

– *Popchnąć? Jest wielki...*

– *Masz lepszy pomysł? Święty Solarze, ta istota przypomina mój gatunek. Skrzydła, twarz, tylko ciało nieopierzone...*

Harpia odwróciła głowę. Dostrzegłszy uzbrojoną Zadrę, zaczęła łapczywie wyrywać pazurami końskie wnętrzności. Klacz wciąż żyła, bo wyła przeraźliwie i uderzała łbem o śnieżny trakt. Zgrzyt zębów i pełen przerażenia przeskłony wzrok zwierzęcej przyjaciółki wycisnęły łzy z oczu Brena. Było za późno. Za późno.

Kałuża ciepłej krwi topiła śnieg. Wierzchowiec znieruchomiał, a nogi się rozchyliły. Potwór wrzasnął triumfalnie.

Chłopak otarł policzek, wypuścił wolno powietrze i rozchylił ręce. Robił wszystko, by się skoncentrować.

– Kolejne dwie! – krzyknęła ostrzegawczo Zadra.

Bren spojrzął w górę. Nad jodłami kołowały harpie, powoli zmniejszając dystans.

– Do mnie! Osobno nie mamy szans! – nawoływała najemniczka.

– Niby jak?!

Poczuł załazek ciepła. Tak szybko? Z każdą próbą czas obudzenia energii był krótszy. Im głębiej zaglądał do wnętrza siebie, tym więcej czuł mocy. Uniósł dłoń w kierunku harpii, a ta trzepnęła wściekle skrzydłami. Pochyliła łeb, ukazując kostne wypustki kręgosłupa; jej szyja mogła się wyginać bardziej niż ludzka. Potwór dyszał wściekle, emanował żądzą mordy.

Bren pomyślał, że skieruje moc w stronę mniejszych kamieni. Popchnięcie ich powinno utworzyć uskok, a wtedy skała zgniecie paskudztwo. Poczuł ekscytację. Fala euforii wstrząsnęła ciałem, a z dłoni wystrzeliła moc.

Trafił idealnie. Blok potoczył się z hukiem w kierunku potwora. Stworzenie spojrzało w górę i odfrunęło w ostatnim momencie. Usłyszeli przepęnlony wściekłością wrzask oraz młaśnięcie miazdżonych końskich trzewi.

– Uwważaj, Bren! – zawołała Zadra.

Obejrzał się. Rozwścieczona harpia, którą próbował zgnieść, pikowała w jego kierunku z rozczapierzonymi pazurami.

– Biegnij, teraz. Szybko!

Popędził ile tchu w płucach do towarzyszki. Poczuł nieludzki smród zgnilizny i zaschniętej krwi. Przeskoczył nad martwym koniem, nie spuszczać wzroku z powiększającego się cienia na trakcie.

– Padnij! – ostrzegła Zadra.

Runął w błoto. Złowrogi pisk, pęd powietrza. Najemniczka doskoczyła i cięła mieczem. Ostrze podskoczyło odbite pazurami i prześlizgnęło się po udzie potwora, przecinając skórę.

– Masz, suko!

Bren podpełznął do nieprzytomnego gнома. Kątem oka dostrzegł, że najemniczka staje bokiem i osłania ich obu.

Druga harpia wylądowała na trakcie przed nimi. Wyglądała na dużo starszą. Skóra wisiała na niej jak wylinka węża. Półłysa głowa,

obwisłe, pomarszczone policzki, wypłowiałe, połamane pióra. Istota uśmiechała się tajemniczo i czekała w milczeniu.

Gdzie jest trzecia? – zastanawiał się Bren.

Obrócił głowę. Ostatni przeciwnik oddalał się, ścigając uciekające konie.

Trzepot skrzydeł. Pisk. Młoda samica odfrunęła poza zasięg kolejnego cięcia mieczem. Po chwili spróbowała z drugiej strony, chcąc dopaść nieprzytomnego gнома. Zadra zakłęła szpetnie. Nie dała się zaskoczyć. Błyskawiczny przewrót przez bark i wystawione ostrze odstraszyło hamującego w locie napastnika.

Młoda krążyła nad nimi, piszczała i szczyrzyła zęby. Przekrwione ślepiea wpatrzone były w najłatwiejszy cel: w gнома. Bren leżał sparaliżowany strachem. Nie potrafił wyrzucić z głowy obrazu pazurów, które na jego oczach rozszarpały klacz.

Stara samica wydała z siebie kryształowo czysty dźwięk. Chłopak spojrział z zaskoczeniem w jej kierunku. Naga maskara z rozpostartymi skrzydłami stała w rozkroku i uciskała obwisłe piersi. Przechyliła głowę, po czym zaczęła śpiewać.

Mistyczna melodia popłynęła traktem. Dźwięk niósł pożądanie, ekstazę i samotność. Harpia poruszała biodrami w rytm melodii i nie przerywała występu.

Zadra dostrzegła ruch. Odwróciła wzrok w poszukiwaniu celu. To Bren. Wpatrzony w zarośnięte krocze śpiewaczki szedł w tym kierunku. Miał nieobecne oczy. Krok. Drugi. Trzeci.

Kołująca młoda zapiszczała z ekscytacją. Przysiadła na gałęzi karłowatego drzewa i czekała w napięciu.

– Co z tobą, Bren?! – krzyknęła najemniczka.

Nie reagował. Pochłonięty melodią zmniejszył odległość od śpiewającej. Chciała pobiec za nim, lecz nie mogła zostawić Pieprza. Pochwyciła słowa:

Najśłodszym nektarem oblana,
chora z miłości do ciebie.
Kobieta kobietę zrozumie.
Podejdz i spróbuj.

Najemniczka potrząsnęła głową. Melodia obezwładniała. Wielokrotnie słyszała o harpim śpiewie, lecz opowieści karczemnych pijaków wkładała tam, gdzie ich miejsce – między bajki. Teraz jednak stała niepewnie i obserwowała straszdyło.

Młoda samica wylądowała kilka kroków za nimi. Wlepiała ślepią w Pieprza. Zadra kucnęła przy gnomie i potrząsnęła nim.

Nic.

– Pieprz!

Podążyła wzrokiem za Brenem. Był już w połowie drogi. Wyjęła bukłak zza pasa i chlusnęła na gнома zawartością. Otworzył oczy, spojrzał na nią półprzytomnie. Nasłuchiwał, po chwili wstał z trudem i łypnął na starą harpię, która właśnie siadała i rozchyłała żylaste nogi. Potwór nabrał powietrza i zaśpiewał głośniej.

Pragnieniem,
Spełnieniem,
Fantazją,
Marzeniem,
Będę dla ciebie.

Melodia zawładnęła nimi, pustosząc resztki woli. Pieprz opuścił głowę i ruszył w stronę śpiewaczki. Zadra wypuściła miecz, który upadł z brzękiem, po czym również dołączyła do towarzysza. Szli wolno, powłócząc nogami. Kołysali się w rytm muzyki, w tym samym tempie co biodra rozkraczonej istoty.

Pierwszy dotarł Bren. Klęknął obok starej i zaczął całować jej siną stopę. Harpia nie przerywała występu. Wpatrzona w Zadkę śpiewała głośniejsz i głośniejsz. Drugi dołączył Pieprz. Staruszek klęknął obok Brena i pogłaskał chude udo samicy.

Kiedy najemniczka dotarła do nich, klęknęła na kolana i wsunęła się pomiędzy nogi stworzenia. Skrzydlata istota uniosła je i oparła na karkach klęczących mężczyzn. Odchyliła głowę do tyłu.

Zadka skoczyła wygięta jak struna. Błysnął sztylet. Ostrze ułońęło w szyi stworzenia aż po rękoeść.

– Nigdy nie ufam babom! – krzyknęła.

Harpia uderzyła skrzydłami, zakrzuszyła się krwią. Śpiew zastąpiło rżenie. Dziewczyna uklęła ponownie. I jeszcze raz. Żądliła, wypychała każdy dźwięk do dziurawej tchawicy. Potwór chwycił głowę Zadry pazurami, lecz ta wbiła ostrze w szyję i pociągnęła w dół. Śmierząca jucha chlusnęła jak z dziurawego gąsiora. Harpia wygięła się, drapała ziemię, wierzgała. Dźwięki pieśni zabalgotwały w morzu krwi, po czym zatoneły wraz z ostatnimi kopnięciami nóg.

Młoda harpia odleciała wyżej i obserwowała scenę ze skalnej półki. Najwyraźniej śmierć towarzyszki odebrała jej pewność siebie.

Mężczyźni krzyknęli, jakby obudzili się z koszmaru. W ich oczach widać było przerażenie i wstyd. Pieprz zwymiotował.

Bren czuł zawroty głowy. Dźwięki pieśni wciąż dzwoniły w uszach. Był rozkojarzony. Coś lub ktoś wdarł się do jego wnętrza i wykradł najcenniejszy skarb – wolną wolę.

Rozejrzał się niepewnie. Potwór z podziurawioną szyją leżał w kałuży krwi. Skrzydlata kobieta wyglądała na mniejszą, jakby wraz z życiem wyleciało z niej powietrze. Biała jak śnieg, rozkraczona, obrzydliwa. Splunął i odwrócił się do Zadry, która podnosiła właśnie miecz.

– Dziękuję – powiedział.

– Spłaciłam dług z kostnicy. Gdy pozbędziemy się ogona piew-
ców, ruszam w swoją stronę.

Pokiwał głową. W głębi serca żałował, że do wyrównania rachun-
ku doszło tak szybko. Najemniczka była śmiertelnie niebezpieczna
dla swoich wrogów.

I cholernie przydatna dla tych, którym sprzyjała – dodał w myślach.

Poza tym doradzono mu, by ją uratować. Przypomniał sobie
pielgrzymkę. Po tym, jak zażył liść sennika, role się odwróciły, to
on był duchem we wnętrzu swojego towarzysza Leby, i to w zu-
pełnie innym świecie – świecie Parkan. To tam poznali bliźniacze
dzieci. Chłopca można było poprosić o radę, dziewczynka zaś
zgodziła się odpowiedzieć na każde pytanie. Bliźnięta uprzedziły,
że nie spotkają się więcej.

Wybrali radę. W ten sposób dowiedzieli się o Zadrze i tym, że
powinni wyzwolic ją ze szponów śmierci. Wszystko po to, by spła-
ciła dług, a on uniknął rozszarpania przez harpie?

Omiótł wzrokiem ciemnowłosą. Nieuchwytny głos podpowia-
dał, że odejście Zadry dobrze mu zrobi. Większa grupa zawsze
zwraca niepotrzebną uwagę. Poza tym dziewczyna coraz częściej
działała mu na nerwy. Było jednak coś, co nie dawało spokoju.
Sposób, w jaki to powiedziała: zimny, wyrachowany. I te wzrusze-
nie ramionami, jakby przyjęła zapłatę za worek jabłek.

– No jakże to? – wtrącił Pieprz, którego brodę znaczyły resztki
wymiocin. – Tak szybko? Masz fach w ręku, dziewczyno. Przyda-
łabyś się. Dlaczego zamierzasz nas opuścić?

Wytarła sztylet z krwi i wsunęła go do kieszonki w nogawce.
Zarzuciła kaptur, który zsunął się z głowy, gdy kłuła harpię. Spoj-
rzała na niego.

– Bo mam fach w ręku.

– A Styks?

Zawahała się. Wsadziła ręce do kieszeni. Patrzyła w ziemię.

– To wasz problem. Konkretnie jego. – Kiwnęła brodą w stronę Brena.

– Zapłacimy, ile trzeba.

Omiotła Pieprza wzrokiem, przygryzła wargę.

– Obawiam się, że was nie stać. Poza tym są zadania ważniejsze od pieniędzy.

– Na przykład? – Gnom nie dawał za wygraną.

– Muszę znaleźć trucicieli.

Westchnął. Pokiwał smutno głową.

– Czy to, co tu zaszło z tą paskudą... może zostać między nami? – spytał.

Skinęła głową.

– Ruszajmy – powiedziała stanowczo. – I tak straciliśmy za dużo czasu. Bren, weź swoje juki i poszukajmy pozostałych koni. Bez nich piewcy dopadną nas szybciej, niż myślimy.

Chłopak podszedł do kłaczy. Dotknął aksamitnej skóry. Zwierzę stygło. Szkliste oko skierowane było w niebo, a pysk zeszywniał rozchylony, jakby koń wciąż był bezgłośnie. Wszędzie leżały porozrzucane parujące wnętrzności.

Sięgnął drżącymi rękoma do juków. Grzebał w nich, lecz nie spuszczał wzroku z martwego oka. Jego serce przepelniał ogromny smutek.

Powiadają, że to pies jest najwierniejszym stworzeniem – pomyślał. Być może. Tylko że pies nigdy nie pomoże obcej osobie.

Pogłaskała brązową skórę zwierzęcia.

Ta kłacz wozila piewców, a potem niosta mnie. To konie zastępują na miano najwspanialszych zwierząt.

Otarł rękawem nos. Wyjął z juków skrzynkę z sennikiem, a także resztki jedzenia. Pochwycił wzrok Pieprza.

– Nie spuszczasz z niej oka. Co jest w środku? – spytał gnom.

– Liście. Są bardzo cenne.

– Jak bardzo?

– Opowiem ci później.

Skinął w stronę Zadry, dając znak, że ma wszystko.

Pobiegli truchtem. Za kolejnym zakrętem znaleźli resztki pozostałych dwóch koni. Rozorane brzuchy i brak wnętrzości. Zwierzęta zginęły identycznie jak klacz Brena. Pieprz przejrzał zawartość rozszarpanych sakw. Zniknęło złoto i metalowy naszyjnik Zadry.

Ruszyli dalej. Po dwóch godzinach dotarli do sosnowego lasu. Ścieżka zniknęła, zastąpiła ją płatanina korzeni. Las był rzadszy, wilgotny, pokryty poduchami mchu i poprzecinany strumykami. Kiedy słońce opadło za horyzont, a niebo rozbłysło pojedynczymi gwiazdami, postanowili przenocować. Zadra przekonywała, że kiedy piewcy odkryją truchła koni, dwa razy pomyślą, zanim pogalopują nocą przez terytorium harpii.

* * *

Bren otworzył oczy. Dopadły go myśli dnia poprzedniego: upokarzający spektakl ze starą harpią, ogromne zmęczenie, które chyba wreszcie odespał, i las nad skrajem przepaści, gdzie postanowili przenocować.

Poczuł zapach żywicy i aż odwrócił głowę w stronę trzaskającego iskrami ogniska. Było cieplej niż wczoraj. Zaspany iglasty las pokrywała poranna mgła, która spowiła poszycie miękkim dywanem. Promienie wschodzącego słońca podświetlały kołyszące się pajęczyny z kroplami rosy, a dym przyjemnie drażnił nozdrza.

Bren się rozejrzał. Dostrzegł but Zadry. Leżał oparty o głaz. Przy ognisku ujrzał drugi but. Leżała tam też kurtka towarzyszki. Potem zobaczył ją samą. Najpierw bosc, wilgotne od rosy stopy, potem wypięte pośladki, osłonięte obcisłymi spodniami. Dziewczyna klęczała pochylona, z wyprostowanymi rękami. Spodnie były naprężone

do granic możliwości. Najemniczka parła, dociskała coś w trawie. Po chwili wyprostowała się, opadła na pięty i ponownie przyłgnęła do podłoża.

Przy każdym ruchu sięgające ramion włosy zamiatały kark i głaśkały wystające wypustki kręgosłupa. Bogowie, nie miała na sobie nic prócz spodni.

Bren się przechylił, by dostrzec więcej szczegółów. Odwrócona tyłem prała koszulę. Wciskała materiał w prowizoryczną tarkę, którą większość nazwałaby pękniętym pieńkiem, i moczyła ubranie w strumieniu.

Obserwował to zjawisko z rozdziawionymi ustami. Ruchy Zady stały się szybsze, bardziej posuwiste, hipnotyzujące. Po chwili znieruchomiała wypięta, z uniesionymi pośladkami, niczym posąg demona zdrożności. Może znalazła dziurę albo płamę? Litości.

Ponownie usiadła na piętach. Zamknął oczy i przelknął ślinę. Znów spojrzał. Chciał zapamiętać każdy szczegół tej pobudki.

Zadra wstała sprężysto. Cienie maznęły nagie plecy, pokryte nielicznymi piegami. Dziewczyna zerknęła w przepaść.

– Woda w źródle lodowata, ale starczy i dla ciebie – powiedziała, nie odwracając się.

Szybko zamknął oczy.

– Skorzystaj i po męsku ochłoń. Koniec przedstawienia. Możesz też zostać i poczekać, aż stanę przodem, ale wątpię, czy strumienie Bolga mają tyle wody, byś ostygł.

Bren zerwał się z posłania, poprawił materiałowe paski służące za szelki i ruszył do juków. Był rozkojarzony i zawstydzony. Pomyślał, że jego okrycie również potrzebuje prania, wiedział jednak, że w tym momencie nie może pozwolić sobie na zdjęcie spodni.

Rozdział 4

Zasadzka

Gdzieś na szlakach Togli

Styks leżał w ukryciu pośród krzaków bukowego lasu. Legenda rzezimieszków, jedyny człowiek, który uciekł z podniebnego więzienia, przywarł do wilgotnej ściółki. Mimo że od spektakularnej ucieczki minęło wiele miesięcy, ludzie Myrmida wciąż go szukali. Wiedział, że władający krajem Togli nie spocznie, póki nie wtrąci go ponownie do lochu, by go zamurować.

Na wspomnienie łączenia więźniów ze skałą Styksa przeszedł dreszcz. Był pewien, że dokończy tam żywota, gapiąc się w jeden punkt. Lecz zdarzył się cud. Zwiął i zaszył się tam, gdzie nie mogli go dopaść.

Po ucieczce poprzysiągł zemstę na Myrmidzie, Cesarzu i wszystkich, którzy staną mu na drodze. Odkąd został magiem i poczuł oddech wolności, każdą chwilę poświęcał na zdobywanie zaklęć i ich praktykowanie. Połykał liście sennika i udawał się na pielgrzymki do świata Parkan. Wracał z nowymi czarami. Potężniejszy, pewniejszy siebie.

Potem założył Zakon. Wynajął piewców, by porywali dla niego magów. Tajemnicza organizacja wywiązywała się z kontraktu

perfekcyjnie. Wydał większość zgromadzonych oszczędności, ale było warto. Magowie wyruszali na pielgrzymki, uczyli się nowych zaklęć, rośli w siłę, a wraz z nimi rósł w siłę jego Zakon.

Osobiście uczył piewców, by porywali wyłącznie początkujących. Tacy właśnie, po udaniu się do świata Parkan, mieli szansę spotkać bliźniacze dzieci i zadać pytanie.

Powrócił myślami do zasadzki, którą przygotował wraz z towarzyszącymi. Omiótł wzrokiem las i okoliczny pagórek. Przebiśniegi, zawiłce, przyłaszczki. Wiosna wydzierła pole wyjątkowo ostrej ziemi.

To dobry czas na śmierć, Siódmy Jego Wyboru.

Jakże zabawna wydała mu się ta nazwa. Władzę w Estepii sprawował Cesarz, najpotężniejszy z magów. W przypadku śmierci zastępował go jeden z trzech Myrmidów rządzących wchodzącymi w skład Cesarstwa krajami: Dengiz, Kindik i Togli. Na stanowiska desygnował ich władca Estepii. Desygnował i nadawał im numery. Niczym parom butów.

Styks prychnął. Obłuda w czystej postaci. Wszyscy wiedzieli, że nic, co istotne, nie ominie cesarskich uszu, a ponumerowani arcyomagowie to wystawione ludowi marionetki.

Tym razem to ja wybrałem ciebie, Myrmidzie.

Przesunął dłonią po prawej części twarzy. Robił to często. Dotyk przypominał o krzywdach, których doznał z rąk władcy Togli. Pokryte bielmem oko, brak brwi, dziura w policzku, wyciekająca ślina. Jeżeli doliczyć do tego uszczerbki, które zbierał po każdej pielgrzymce, wyglądał strasznie. Powiedzieć, że przypominał monstrum z koszmarów, to jak nic nie powiedzieć.

Nasunął maskę, by zasłonić oszpeconą połowę twarzy. Wykuto ją z białego metalu, który z czasem popękał. Mimo to nie wymienił jej. Rysy przypominały o trudnej przeszłości i pchały do celu.

Tak długo czekał na ten dzień. Jeśli szpiedzy piewców mieli rację, władca Togli powinien przejeżdżać właśnie tędy praktycznie bez

ochrony. Taka okazja nadarzała się nadzwyczaj rzadko. Zapewne Myrmid, którego zwano Siódmym Jego Wyboru, miał swoje tajemnice. To dlatego podróżował bez kordonu wojska oraz magów.

Styks jeszcze raz przypomniał sobie plan, który uzgodnił z towarzyszącymi mu Naznaczonymi, najpotężniejszymi magami jego Zakonu. Słynący z magii ognia Jarved krył się gdzieś po drugiej stronie ścieżki. Mistrz iluzji i perswazji Alois krążył na tyłach, a Nikandra, której nikt nie dorównywał w zaklęciach przywołań, miała obsadzić wzniesienie. No i był jeszcze on sam.

Uśmiechnął się. Myrmid to arcymag, co czyniło go poważnym przeciwnikiem, ale mieli przewagę zaskoczenia. Poza tym znali arsenał magiczny przeciwnika. Przybyli w optymalnym składzie.

Ileż to razy rezygnował z zasadzki, bo ktoś lub coś krzyżowało mu plany. Dziś w końcu się uda.

Drogę spowija ciemność, gdy wreszcie go dostrzegł. Odczekał chwilę, by upewnić się, że to nie omamy, które od czasu jednej z pielgrzymek nawiedzały go codziennie. Kiedy sunący przez mgłę orszak nie zniknął, mag rozluźnił kark i wypuścił powietrze. Czuł, jak wibruje w nim energia.

– *Nie zepsuj tego* – usłyszał mroczny głos Parkanina.

Gdyby Styks mógł się uśmiechnąć, zrobiłby to. Wyzarte mięśnie stać było jednak zaledwie na drgnięcie. Dobrze wiedział, że skrzydlaty bardziej niż losem Myrvida przejmował się Naznaczonymi. Utrata jednego z nich przekreśliłaby jego plan. Plan szybkiej eliminacji kolejnych Bezsennych. To jednak on, nie Parkanin, decydował kogo, kiedy i do czego wykorzysta.

Przebiegł wzrokiem po drodze. Pretendent do cesarskiego tronu jechał w karocy, otoczony zastępem znudzonych rycerzy i kuszników. Myrmid wystawił głowę, uniósł dłoń, a konwój stanął.

– Teraz! I tak już nas wyczuł! – krzyknął Styks, licząc, że ukryci w lesie Jarved, Alois i Nikandra go usłyszeli.

Wraz z ostatnim słowem wypuścił nagromadzoną moc, która błysnęła w postaci łańcucha iskier. Trzaskający wąż energii trafił kuszników i część konnych. Stojący najbliżej zmienili się w spopielone figurki, a pozostałości rynsztunku potoczyły się na boki, gdy kilkanaście trupów padło w wiosenne błoto. Kusznicy na karocy też musieli oberwać, bo spadli z dachu pomiędzy stające dęba konie. Większość podniosła się i chwyciła kusze.

Kolejna wiązka brzęknęła wyładowaniem, jednak odbiła się od lodowej bariery, która otoczyła orszak. Styks uskoczył za drzewo. Usłyszał świst. Jeden z bełtów przeleciał obok. Drugi utkwił w pniu.

W ostatniej chwili – pomyślał mag.

Nauczony doświadczeniem zawsze zostawiał krztynę energii i rzucał zaklęcie ostrzegające przed nadlatującymi pociskami lub zaklęciami. Ponownie usłyszał buczenie czaru. Lasem wstrząsnął huk. Ognisty podmuch sunął w stronę orszaku z drugiej strony drogi, wypalając korytarz w leśnym runie. Po chwili dołączyły druga i trzecia ściana ognia.

To Jarved, a więc nie stchórzyli.

Odetchnął. Przekonanie członków Zakonu do tej akcji nie należało do łatwych zadań. Jeszcze trudniej było im wmówić, że mają jakiegokolwiek szanse w starciu z Myrmidem.

Władca Togli wyskoczył z powozu i klęknął wśród paproci. Miał szczęście. Rzucona przez Jarveda gorejąca ściana wypaliła dziurę w lodowej barierze, a kolejne dwa tabuny ognia omiotły wóz i podpaliły konie. Zwierzęta wyrwały w panice i grzmotnęły karocą w drzewo. Ta pękła na pół, a z przytroczonego do płonących rumaków podwozia posypały się deski.

Styks usłyszał szelest za plecami. Kucnął w ostatniej chwili. Gwardzista Myrmidy ciął mieczem i wrzasnął wściekle. Najwyraźniej liczył na efekt zaskoczenia. Po chwili pchnął tarczą z godłem

Togli, a ta wgniotła się w drzewo z trzaskiem. Styks skoczył w najgęstsze krzaki, jakby te mogły go zasłonić przed kolejnym ciosem. Skumulował moc.

Szybciej.

Nie zdąży.

Postawny mężczyzna uniósł miecz. Spiał mięśnie, lecz jego twarz złagodniała. Przechylił głowę i zerkał z uwagą na leżącego.

– Tatusiu, czy to ty? – spytał.

Styks leżał na plecach zdeorientowany. Bał się poruszyć, czekał, aż moc się odrodzi, ale wciąż potrzebował czasu.

Usta napastnika poruszyły się ponownie.

– Pozwól, że pomogę ci wstać, tato – rzekł.

W krzakach jarzębiny zajaśniała twarz Aloisa. Mag, który brał udział w zasadzce, był skupiony i wpatrzony w rycerza. Styks przeknął ślinę. Jego towarzysz musiał rzucić zakłęcie perswazji. Jak długo potrwa? Kiedy napastnik zorientuje się, że to fortel?

Uniósł rękę i ostrożnie podał dłoń rycerzowi, który pochylał się nad nim. Wstał. Gwardzista Myrmiada zamrugał niepewnie oczami. Zerknął na miecz.

– Co do psich jajec...

Ostatni wyraz utknął w jego gardle razem ze sztyletem. Pchnięcie Styksa było precyzyjne. Szpikulec trafił pomiędzy czepiec kolczy a krawędź napierśnika. Po wyszarpięciu chlusnęła fontanna krwi. Mag przytrzymał upadającego rycerza, a po chwili puścił, pozwalając osunąć się bez życia pod brzozę. Podziękował Aloisowi skinięciem głowy.

Wyjrzał zza drzewa. Las płonął. Wszędobylski dym unosił się złowrogo wokół pierścienia wypalanej roślinności. Naliczył siedmiu rycerzy oraz dwóch wciąż żywych kuszników gwardii Myrmiada. Jarved słał płomienne podmuchy, lecz bariera wokół władcy Togli pochłaniała ogień.

Musiał zmienić typ tarczy – pomyślał Styks. W ten sposób go nie dopadniemy.

– Wyczuwam ogromną moc – ostrzegł go Parkanin.

Tapnięcie. Wokół Myrmida wyrosła chmura pyłu, która pomknęła we wszystkie strony, krusząc przeszkody. Po chwili dołączył dźwięk. Wirująca ściana piachu podrzucała krzaki wysoko, ponad pnie i konary drzew, które gnioła z niewiarygodną siłą. Miażdżyła wszystko, co stało jej na drodze.

Styks zdążył otoczyć się barierą, lecz okazała się za słaba. Uderzenie go ogłuszyło. Upadł obok drzewa, które po zetknięciu z pyłem trzasnęło jak słomka. Poczuł silny ból w klatce piersiowej. Pomyślał, że gdyby nie gęsty las, który spowolnił czar, nie zdążyłby się osłonić i już byłoby po nim.

Dostrzegł, jak Myrmid wskazuje kilka miejsc palcem, a rycerze zaczynają biec w tych kierunkach.

– Co to za zaklęcie?

– Nie ma czasu – odparł Parkanin. – Ukryj się. Zbierz moc.

Alois, który stał dalej, przeżył. Piaszczysta ściana musiała przejść bokiem. Towarzysz Styksa położył się i skupił wzrok na kusznikach. Po chwili machnął rękoma, a ci odwrócili się w stronę Myrmida, którego mieli za zadanie chronić. Wystrzelili. Władca Togli spopiełił pociski gestem, a następnie rzucił kulę ognia, która zwęgliła jego obrońców. Kucnął i ponowił niszczycielskie zaklęcie. Ściana była większa. Na bogów, rosła coraz wyżej, wyżej niż las.

Styks rozpostarł barierę. Próbował poszerzyć ją aż do Aloisa. Poczuł zderzenie magii, żar eksplodujących iskier. Dźwięku, który powstał przy zetknięciu obcych energii, nie sposób było porównać do czegokolwiek znanego. A potem narastający pisk. Mechaniczny skowyt przypominający odgłos dwóch przecinających się pił.

Impet uderzenia targnął Styksem w jeżyny.

– *Wstawaj!* – usłyszał głos Parkanina. – *Byłeś nieprzytomny przez trzy oddechy. Masz kilka połamanych kości. Zbierz moc. Zbierz ją, szybko!*

Wstał z trudem. Przeciwnik wciąż kuczał, coś rysował. Styks zerknął w poszukiwaniu Aloisa. Porozrzucane szczątki towarzysza mogły oznaczać jedno.

Czyżbym przeszacował możliwości? – przeszło mu przez myśl.

Kolejne drzewa runęły z trzaskiem łamanych gałęzi. Dostrzegł błysk stali po drugiej stronie drogi. Krzyk.

Jarved? To musi być on. Tak.

Osaczony przez dwóch rycerzy, mag podskakiwał jak opętany, próbując uniknąć ciosów. Spalił jednego napastnika, lecz drugi uskakiwał za drzewa i umiejętnie skracał dystans.

Styks wyprostował ręce, a szerokie rękawy jego kaftana zafurkotały. Uformował zakłęcie. Czuł, że słabnie. Skupił uwagę na przeciwniku Jarveda. Rycerz sposobił się do zadania śmiertelnego ciosu.

Błyskawica, którą posłał Styks, była szybsza. Pewnie też zbyt silna jak na jednego wroga, ale chciał mieć pewność, że go powstrzyma. Piorun popędził wzdłuż podłoża i trącił nogę napastnika. Potężna moc spopieliała go aż po klatkę piersiową. Martwy zbrojny runął na ziemię.

Szelest krzaków. Styks się odwrócił. Mignęła krawędź tarczy. Dewastujący cios przeciwnika zgruchotał mu zęby. Okruchy posypały się w igliwie. Padł plecami na pęknięte drzewo. Ból szczęki był niepojęty. Wyższy o głowę rycerz ciął mieczem. Celował w nogi. Zdezorientowany mag uskokzył w bok. Ostrze wbiło się w pień. Mężczyzna szybko je wyszarpnął.

Usłyszeli skowyt. Lasem wstrząsnął demoniczny ryk.

Styks zlokalizował resztkę mocy. Uformował zakłęcie i pchnął stożek ciepła w stronę atakującego. Rażący białym światłem trzon

przebił czaszkę i wypalił dziurę na wylot szarżującego napastnika. Ten zdołał zrobić krok, po czym upadł z trzaskiem pierścieniowej zbroi.

Śmierdziało dymem. Płonęło wszystko, nawet szczątki Aloisa. Styks poczuł w ustach smak krwi. Dotknął ostrożnie szczęki. Złamana. Omiótł wzrokiem najbliższe otoczenie w poszukiwaniu rycerzy. Pusto. Skierował wzrok na głównego przeciwnika. Obok Myrmida rozbłysnął okrąg świetlistych znaków. Środek zapadł się, zniekształcił, jakby coś wysało go pod ziemię.

Krzyk Jarveda wskazywał, że niebezpieczeństwo jest w innym miejscu. Włochaty insekt o wielkości łodzi rybackiej pędził ku wrzeszczącemu magowi. Kształtem oraz masywnymi szczypcami u podstawy łba przypominał żuka, ale naprężone odnóża dodawały mu lekkości i skrętności.

Musiał go przyzwać Siódmy – ocenił Styks. Co robić? Psiakrew. Co robić?

Poszukał mocy, lecz wiedział, że jest pusty. A jednak przeszacował siły. Jęknął na widok traktowanego Jarveda. Żuk dla pewności odciął magowi głowę. Po chwili zajął się oczyszczaniem szczypców z flaków. Najwyraźniej ogień nie był mu straszny, bo stał tuż obok płonącego buku.

– *Nie!* – Styks usłyszał wściekły głos Parkanina. – *Straciliśmy już dwóch! Wycofaj się!*

Okolicą wstrząsnął przeszywający gwizd. Upierzone na czerwono ptaszysko kołowało nad zadymionym lasem.

To dzieło Nikandry! Wreszcie! – pomyślał z ulgą.

Monstrum obniżyło lot i runęło na żuka. Ostry dziób przebił pancerz przeciwnika. Masywny owad plunął mazią. Ryknął i skręcił ciało, by dosięgnąć ptaka szczypcami, lecz ten się wzniósł. Ponownie kołował. Wyglądał jak jedno z płonących drzew.

Na pobliskim pagórku Styks dostrzegł Nikandrę. Taksowała okolicę: przyzwanego przez siebie ptaka, roztrzaskaną karocę

z płonącymi szczątkami koni, korytarze ognia i połamane, przechylone w różne strony drzewa. Widziała również Myrmida, który stał i obserwował walkę mistycznych potworów.

Pisk. Ptaszysko zaczęło pikować z ogromną prędkością. Żuk podskoczył. Na bogów, jakże był skoczny. Chwycił szczypcami w locie zaskoczonego przeciwnika. Przypominał wielką modliszkę, która unieruchomiła ofiarę w śmiertelnym zwarciu. W powietrze wleciały dziesiątki piór. Upadli. Ptak wygiął się, naprężył. Uderzył dziobem, przebił łeb żuka. Ten zeszytniał, lecz nie wypuszczał szyi przeciwnika z żelaznego uścisku.

Styks usłyszał syk. Grad płonących pocisków wleciał nad pagórkami. To Myrmid. Musiał cisnąć nimi w międzyczasie. Rozżarzone kule eksplodowały tuż nad głową Nikandry. Próbowwała odskoczyć, lecz ognisty deszcz zajął większość wzniesienia, podpalił jej ubranie oraz włosy. Kobieta wrzasnęła, zaczęła zrzucać odzież. Po chwili poturlała się z krzykiem po błocie.

Trafił ją, psi syn. Oby przeżyła.

Rozległ się triumfalny ryk. Żuk odciął ptasi łeb i deptał pozostałości coraz wolniej i wolniej. Odnóża wielkiego owada zeszytniały. Padł. Najwyraźniej dziura w głowie okazała się śmiertelna.

Siódmy Jego Wyboru uniósł dłonie i otoczył się ognistym kręgiem. W niebo wystrzelił słup płomieni. Wysoko ponad lasem rozbłysła gigantyczna podobizna arcymaga.

Styks wypluł resztki piachu, po czym zacisnął pięści w geście triumfu.

– A więc wzywasz pomocy. To znaczy, że chwilowo brakuje ci sił – wyszeptał.

* * *

Nikandra miała szczęście. Straciła większość włosów, doznała wielu poparzeń, głównie na twarzy, rękach i brzuchu, lecz najważniejsze, że przeżyła. Ponadto wciąż miała siłę, by rzucać zaklęcia rozszepiające moc i osłabiać tarczę Myrmyda.

Po kilkunastu minutach bariera zniknęła. Władca Togli upadł i jednocześnie zgasła jego podobizna.

– Mamy go! – krzyknęła Nikandra.

Spojrzała na Styksa wybałuszonymi, przekrwionymi oczami, oczekując dalszych rozkazów. Położył dłoń na jej ramieniu. Wykonała kawał dobrej roboty. Przyjrzał się jej śmierzdzącej spalenizną todze, twarzy.

Fatalny wytrzeszcz oczu, którego nabawiła się po jednej z wycieczek na Parkan, początkowo go śmieszył. Nie potrafiła zamknąć powiek nawet w trakcie snu. Wyglądała wtedy jak kukła, nafaszerowana ziarnem lalka wpatrzonej w sufit.

Zacisnął dłoń na ramieniu swojej najpotężniejszej magini. Sporo jej zawdzięczał.

– Kim jesteście? Czego chcecie? – warknął Myrmyd.

Styks podszedł bliżej.

– Pamiętasz mnie? – spytał z nadzieją w głosie.

Po chwili podważył paznokciem maskę i ją zdjął. Mężczyzna w brązowej todze obserwował go z uwagą. Jego twarz zgasła, objęta grymasem strachu.

– To... niemożliwe.

– A jednak.

Głos Styksa przepętniała radość. Tak długo czekał na tę chwilę.

– Skórowiec? Po tym, jak uciekłeś z podniebnego więzienia... Mówili, że nie żyjesz.

Styks dał znak Nikandrze, a ta podała mu zdobiony toporek. Łysa, zniekształcona czaszka maga odbiła światło szmaragdów, które tkwiły w rękojeści.

– Broń krasnoludzkiego władcy? Skąd to masz? – spytał Myrmid ze zgrozą w głosie.

– Piewcy potrafią ukraść prawie wszystko.

Siódmy Jego Wyboru milczał. Nie odrywał wzroku od broni Rdzawego Króla.

Styks sapnął cicho, uklęknął.

– Kiedy dawno temu obdzierałem ze skóry twojego chłoptasia, nie wiedziałem, że to przydupas kogoś tak ważnego. Wrzeszczał jak zwykły chłop, a nie kurtyzana władcy. Czy wiedząc, że to twój kochanek, zrobiłbym to ponownie? Tak! Bo dzięki temu rozwścieczyłem lwa, który poświęcił kawał życia, by mnie dopaść. Wcześniej nie przeszkadzał ci seryjny morderca, który latami skórował mieszkańców twojego kraju. Kiedy znalazłeś obranego kochanka, to uległo zmianie, prawda? Wydałeś mnóstwo pieniędzy, uruchomiłeś wszystkie kontakty. W końcu mnie dopadłeś. Pamiętasz, co było dalej?

Usta leżącego drgnęły. Styks kontynuował przedstawienie.

– Mogłeś mnie zabić, ale wybrałeś pastwienie się przed widownią. Zaprosiłeś cały dwór. Popisywałeś się zakłębieniem pluskwiaków, które wyżerały moją twarz. Mroziłeś czaszkę, by zasklepić rany.

Styks dyszał wściekle, a z dziurawego policzka pocięła ślina. Uniósł topór. Myrmid zadygotał.

– Gdy lód topniał, przebudzone robale znowu ruszały na żer. I tak w kółko.

Broń opadła ze świstem, a odcięte palce Myrmida odskoczyły niczym gałęzie pniaka. Arcymag wrzasnął i docisnął drugą dłoń do kikutów.

– Krzyczałem podobnie, gdy żarły mi oko. Wypachnieni goście bili brawo i oblewali mnie winem ze złotych kielichów. Pamiętam twój tron, cały w kwiatkach. Pamiętam ciebie. Siedziałeś i patrzyłeś. Tydzień. Męczyłeś mnie tydzień!

– Jesteśmy więc kwita!

– Czyżby, Siódmy?

Kłęknał, by zajrzeć mu w oczy. Dostrzegł w nich strach. Jakże to symboliczne. Historia zatoczyła koło.

– Kiedy zaspokoileś żądzę zemsty albo po prostu ci się znudziłem, wtrąciłeś mnie do podniebnego więzienia. Zostałem zamurowany. Wiesz, jakie to uczucie? Miesiącami patrzyłem w jeden cholerny punkt. Po twarzy ciekło mi gównno. Kiedy inni kończyli wyroki, ja nadal byłem częścią wyjącej ściany.

Leżący schował dłonie w obawie przed kolejnym cięciem, lecz Styks tylko zarechotał ponuro.

– Planowałem zemstę na tobie, Myrmidzie. To ona grzała me serce, kiedy traciłem nadzieję. Poszczęściło mi się.

Władca Togli wbił w niego wzrok. Musiał pamiętać spektakularną ucieczkę. Ucieczkę, która nie miała prawa się wydarzyć. Tajemnicę, która wstrząsnęła Estepią i zachwiała renomą elitarnego więzienia.

– Chcesz wiedzieć, jak zwiąłem, prawda? – spytał Styks i poklepał nogę Nikandry.

Kobieta знаła szczegóły. Powrócił wzrokiem do swej ofiary.

– Doznałem połączenia z Parkaninem. Zabawne, prawda? Będąc fragmentem ściany, zacząłem słyszeć głosy.

– To niemożliwe.

– A jednak! Najlepsze nastąpiło później. Mój skrzydlaty towarzysz kipiał złością. Och, jakiej on dostał furii! Naopowiadali mu bajek o zbawianiu światów, a trafił do wnętrza umierającego pół człowieka, pół skały. Przyznasz, że to dość żenująca rzeczywistość.

Zbliżył twarz do leżącego na odległość oddechu.

– Nasza ludzko-parkańska irytacja miała różne podłoża, ale złączyliśmy ją we wspólne naczynie. Naczynie zemsty.

– Jak wydostałeś się z kamienia?

– Pewnego dnia odpadło mi ucho. Myślałem, że to choroba. Później odkryłem, że to koszt, który poniosłem za dar magii. Z czasem nauczyłem się widzieć fragmenty, z których złożony jest świat.

Policzki Myrmida obwisły, a usta zadrżały.

– Magia cząstek...

– Ćwiczyłem i ćwiczyłem, aż w końcu zmieniłem skałę w wodę. Tak właśnie uciekłem.

– Kłamiesz! Po połączeniu z Parkaninem pojawia się proste zaklęcie, na pewno nie z klasy cząstek. A przecież nie mogłeś wyruszyć do świata skrzydlatych po inne czary.

– Jesteś w błędzie, Siódmy. Skrajnie wyczerpany, niedożywiony, będący na skraju śmierci mag nie potrzebuje ziół, by zmienić świat. Zaskoczony? Byłem tam wiele razy jako człowiek-ściana. Wiele razy. Aż poznałem zaklęcie, które otworzyło mi drogę do wolności.

Nastąpiła cisza.

– Cesarz cię zniszczy!

– On będzie następny. Chciałbym pogawędzić, ale wiem, że zbierasz siły. A kiedy to nastąpi, zostanie po mnie proch.

Sięgnął po nóż z haczykową końcówką.

– Co robisz?!

Nikandra odwróciła głowę i zacisnęła zęby. Jej wybałuszone oczy stały się jeszcze większe.